

Jest to fragment mojego dziennika z lat 1991- 1993, który wkrótce ukaże się w postaci książki. Został on opublikowany w dodatku do "Rzeczpospolitej" - "Plus Minus", pierwszego czerwca 2002 roku, czyli tuż przed 10 rocznica obalenia rządu Jana Olszewskiego.

Opowieść o upadku rządu Jana Olszewskiego

DWUDZIESTY DRUGI KWIETNIA 1992 roku, wtorek.

Przed południem rozpoczęło się w Urzędzie Rady Ministrów ostatnie - jak się okazało - zebranie liderów dziesięciu partii (siedmiu należących do koalicji rządowej - i trzech do tak zwanej małej koalicji utworzonej przez Unię Demokratyczną, Kongres Liberalno-Demokratyczny i Polski Program Gospodarczy). Trwało, przy drzwiach zamkniętych, do czwartej, bez przecieku. - Skoro trwa tak długo, mimo że poprzedniego dnia ustalono, iż trzeba ostatecznie przesądzić o losie wielkiej koalicji, to - myślałem - może coś wyjdzie. Byłem w domu; koło czwartej wezwano mnie do siedziby UD. Ktoś, otwierając mi drzwi, powiedział krótko - "klops".

Jan Olszewski zaprzepaścił wyjątkową szansę, jaką było zawiązanie pod jego kierownictwem koalicji dziesięciu partii. Była to jedyna okazja utworzenia w ówczesnym parlamencie stabilnej większości dla sprawniejszego rządu krajem. Olszewski ją zaprzepaścił, bo bał się utraty samodzielności na rzecz nowych koalicjantów i na rzecz Jarosława Kaczyńskiego, swego wcześniejszego protektora z Porozumienia Centrum. Był to lęk przesadny, silnie podtrzymywany przez bliskich premierowi ludzi. (...)

Unia wyrusza na wojnę

DWUDZIESTY TRZECI MAJA, sobota.

Zebrało się prezydium Unii Demokratycznej (...). Członkom prezydium brzmiało jeszcze w uszach "pożegnalne" przemówienie Jana Parysa w Sejmie, mającym zaraz potem głosować nad dymisją ministra, a jeszcze bardziej wystąpienie Olszewskiego, który wniosek o dymisję Parysa uzasadniał. Oba wystąpienia były bardzo agresywne wobec Wałęsy. Mazowiecki dopatrywał się w nich lekceważenia interesów państwa i przewidywał, że teraz prezydent będzie energiczniej dążył do obalenia rządu. Dodał, że ZChN rozważa cofnięcie poparcia dla Olszewskiego, jeżeli konflikt z Belwederem będzie się zaostrzał.

Jednak, gdy kilka dni później Wałęsa cofnął zaufanie rządowi, ZChN pozostało przy premierze. Był więc pat, sytuacja niejasna i wobec tego brakowało jasności w naszych głowach. Unia nie miała dobrego ruchu. Lityński powiedział jednak, że po przemówieniu Olszewskiego musimy zgłosić wniosek o odwołanie rządu. - Musimy - tłumaczył - zrobić to, zanim podobny wniosek zgłosi prezydent, żeby uniknąć wrażenia "małpowania" Wałęsy i zarzutu, że zachowujemy się jak jego dworacy. Na to zawsze byliśmy uczuleni (...).

DWUDZIESTY CZWARTY MAJA, niedziela.

Jak zwykle o godzinie jedenastej, w ratuszu na placu Bankowym rozpoczęły się obrady Rady Unii Demokratycznej, podczas których miała być podjęta uchwała o tym, że rząd Olszewskiego powinien ustąpić. Spotkanie miało też zademonstrować, że Mazowiecki pozostaje niekwestionowanym liderem partii i jej ewentualnym kandydatem na premiera. W czwartek zaprosiłem do siebie do domu Halla i Syryjczyka, żeby przedyskutować mowę Mazowieckiego, uchwałę Rady i inne sprawy. Projekt uchwały według ustaleń z tego spotkania przygotował Hall i po przeróbce, jaką mi zlecono, zatwierdziło prezydium. W Sejmie tymczasem trwał burzliwy tydzień. Jego osiǳ był konflikt rządu z prezydentem. Po niekorzystnym dla Parysa orzeczeniu komisji sejmowej pod przewodnictwem Bentkowskiego, Parys złożył dymisję. Olszewski przyjął ją jednak z grymasami, by wiadano, że ugina się przed belwederskim dyktatem. Potem ujawnił się trwający już jakiś czas spór o traktat polsko-rosyjski, który Wałęsa miał podpisać w Moskwie. Spór ten z winy rządu i prezydenta nabrał posmaku gorszącej afery rozgrywanej na oczach świata. Krótko mówiąc - między Alejami Ujazdowskimi a Belwederem trwała kanonada na całego.

DWUDZIESTY SIÓDMY MAJA, środa.

Zebrało się najpierw prezydium Unii, a potem - drugi raz od powołania - Rada Małej Koalicji. Radę Koalicyjną poprzedziło zebranie Klubu Unii. (...) Obrady klubu otworzył Geremek. Postawił trzy pytania: czy wnosimy o odwołanie rządu, czy można będzie powołać nowy rząd, jakie zajmiemy stanowisko w sprawach budżetu? W tej ostatniej sprawie przeważył pragmatyzm - głosujemy za budżetem. W sprawie odwołania rządu głosy były podzielone (...). W głosowaniu zdecydowana większość klubu poparła zgłoszenie wniosku o wotum nieufności, według schematu "za budżetem, przeciw rządowi" (...).

DWUDZIESTY ÓSMY MAJA, czwartek.

Dzień, który przeszedł do historii. Tego dnia szef Unii Polityki Realnej poseł Janusz Korwin-Mikke, oryginał, bardzo inteligentny, ale często zachowujący się niemądrze, zgłosił projekt uchwały o ujawnieniu agentów UB i SB, Sejm zaś projekt uchwalił, nie dopuściwszy, w atmosferze tumultu, do debaty. Zaskoczenie było zupełne, kluby przeciwne uchwale nie zdążyły uzgodnić stanowisk ani się zmobilizować. W Unii dominował sprzeciw wobec uchwały, ale na przykład Hall, który ją krytykował, oddał głos co prawda wstrzymujący się, ale robiący quorum. Tymczasem projekt przeszedł przy prawie pustej sali. Wystarczyło, żeby jeszcze trzech posłów nie głosowało i historia potoczyłaby się inaczej.

Nagle znaleźliśmy się w Polsce u progu dekomunizacji. W następnych dniach rzeczywiste problemy kraju zeszyły na daleki plan. Jeden z czytelników, dzwoniąc do "Telefonicznej opinii publicznej" w "Gazecie Wyborczej", powiedział z przenikliwą trafnością, że było to tak, jakby wrzucono granat do szamba. Po przegłosowaniu uchwały z galerii dla wyższych urzędników zbiegł Naimski, szef UOP, mówiąc głośno do towarzyszącego mu mężczyzny: "to jest to", po czym niemal pobiegli do wyjścia.

DWUDZIESTY DZIEWIĄTY MAJA, piątek,

o 9 rano zebrało się prezydium UD, a potem Rada Koalicyjna. Po obradach prezydium, gdy w klubowym pokoju zostali Mazowiecki, Konopka i ja, obecny też Rokita powiedział, że udało mu się przez kogoś zaufanego dostać (...) projekt ustawy

dekomunizacyjnej, opracowany w gabinecie Macierewicza. Był to wydruk komputerowy, bez dwóch ostatnich stron. Treść porażała - na zawsze pozbawieni mieli być wszelkich stanowisk państwowych wszyscy, którzy kiedykolwiek pełnili najmniejsze choćby funkcje kierownicze w PZPR, ZSL, SD, ZMP, ZMS, ZMW i tak dalej. To mogła być czwarta część Polski albo i więcej.

Powiedziałem, że ten materiał powinien zostać bez zwłoki ogłoszony. Rokita się od razu zgodził, pod warunkiem pełnej dyskrecji, jeśli chodzi o źródło. Mazowiecki się wahał. Sądził, że publikacja dokumentu zaogni sytuację i popchnie rząd oraz Macierewicza do pójścia na całego. Uległ jednak po dłuższych naciskach wszystkich obecnych. Wyrwałem prawie dokument Rokicie z rąk i od razu go wepchnąłem głęboko za pazuchę (...). Umówiłem się koło "Gazety", by nie kojarzono dokumentu z moją obecnością (...). Dokument wydrukowano w poniedziałek jako sensację dnia, na pierwszej stronie, z komentarzem.

TRZYDZIESTY MAJA, sobota.

Sytuacja była coraz paskudniejsza, położenie Unii i Małej Koalicji się komplikowało. W piątek po zebraniu Rady Koalicyjnej wysmażono w końcu wnioski o dymisję rządu i Rokita złożył go marszałkowi Zychowi. Kości zostały rzucone. Złożenie wniosku skonsolidowało jednak partie rządowe, mimo że niektóre dopiero co same energicznie premiera podkopywały. Zdecydowała zapewne wola, żeby inicjatywy nie oddać Unii. Sześć partii rządowych, które rozlały się już po kątach, zebrało się więc, by ustalić wspólne stanowisko w głosowaniach nad budżetem i nad wnioskiem o odwołanie rządu. Premier Olszewski natomiast, czując, że zagrożenie jest tuż, nasilił próby kupienia KPN. Konfederacja postawiła dobrze pomyślane dla jej interesu warunki. Zażądała Ministerstwa Obrony dla Moczulskiego oraz Sprawiedliwości i Łączności, do tego 12 stanowisk wiceministerialnych, w tym urzędu sportu i turystyki (wpływ na młodzież), posady likwidatora RSW i szefa Komitetu do spraw Niepełnosprawnych. (...)

W sobotę wieczorem zadzwonił Mazowiecki, żebym do niego przyjechał. Ściągnął też Jacka Ambroziaka, bo będąc poza tym polityczno-sejmowym kotłem, mógł mieć inne spojrzenie. Mazowiecki chciał wiedzieć, co ma robić, czy naciskać Wałęsę, żeby energiczniej obalał rząd, czy nie, a jeśli tak, to jakie działania mu podsunąć. (...)

Atmosfera była ciężka. Byliśmy zmęczeni tygodniami jałowych rozmów i przygnębieni wzbierającą falą dekomunizacyjnej, brudnej piany. Uchwała o agentach wzburzyła Mazowieckiego jak żadna sprawa od dawna. Sejm jawił mu się jako rozszalałe, niemądre zbiorowisko, które daje się zmanipulować byle dziwakowi. Wyczuwałem, jakby Mazowiecki zaczął poważnie rozpatrywać wariant prezydent - premier, jako ostateczną zaporę przed sejmową "szajbą". Nawet go o to wprost zapytałem, ale nie dał jasnej odpowiedzi, co znaczy, że podejrzewałem trafnie.

Rysowały się dwa wyjścia. Po pierwsze nierobienie niczego, przegranie wniosku o odwołanie rządu i przygotowanie Unii na przyjęcie tej porażki. Już zresztą doświadczenia z przyjmowaniem porażek mieliśmy. Można było ją potem zdyskontować, gdyby rząd dalej brnął w ślepią uliczkę. "Podwariantem" było wycofanie wniosku o dymisję rządu, jeśli Olszewski zrekonstruowałby gabinet, dobierając KPN. Można by powiedzieć, że wniosek stracił rację bytu - tak sugerował Mazowiecki, bo rząd zyskał większość. Wtedy - mówił też - można by głosować przeciwko budżetowi według schematu - budżet niezły, ale rząd jeszcze gorszy, bo z dodaniem KPN.

Drugim wyjściem było namówienie Wałęsy na proponowane przez szefa PSL spotkanie

dwóch "trójek" (UD - KLD - PPG i ZChN - PSL - PL), ale wtedy byłoby pewne, że Mazowiecki rządu tworzył nie będzie, iż znajdziemy się w pozycji podporządkowanej Belwederowi, czyli zaczniemy przybliżać się do wariantu "prezydent - premier". Dalsze rozmowy z poszczególnymi partiami były bezcelowe. Rozmawiały już wszystkie ze wszystkimi na wszystkie tematy, i zaczynało to budzić mdłości, bo codziennie prawie trzeba było zmieniać poglądy. Nie zdecydowaliśmy, które wyjście przyjmujemy. Zdecydował sam Mazowiecki; został w Warszawie do poniedziałku, by rozmawiać z Wałęsą. W sobotę, gdy od niego wychodziłem, szepnął mi, zachowując dyskrecję wobec Ambroziaka, by może zatrzymać druk dekomunizacyjnej ustawy w "Gazecie", bo jest szansa zablokowania uchwały o agentach. Mylił się, a ja tekstu nie wycofałem.

TRZYDZIESTY PIERWSZY MAJA, niedziela.

Około drugiej zjawił się przed naszym domem R. z "Gazety". Chciał się upewnić, że materiał, który dostali w sobotę, jest prawdziwy. Powiedziałem mu, że pochodzi od Rokity i że ma to zachować tylko dla siebie, ujawniając jedynie, iż materiał ma ode mnie (...). Powiedział, że wydrukują pełny tekst ustawy z informacją na pierwszej stronie i z komentarzem Ewy Milewicz, czyli maksymalny akord.

PIERWSZY CZERWCA, poniedziałek.

W "Gazecie Wyborczej" na pierwszej stronie projekt ustawy dekomunizacyjnej, pomysł z domu wariatów albo wprost od bolszewików. "Najjaśniejsza" okazywała się nie taka jasna, a na dodatek zaczynało jej brzydko pachnieć z "najjaśniejszego ust pąkowie". A tu jeszcze Tymiński ściągął do kraju, żeby, jak zapowiadał, "rozstawiać chorągwie do ostatecznej walki z udokomuną, a wiadomości o Polsce czerpał telepatycznie przez czwarty wymiar". Jak niewiele trzeba, żeby ogłupić tłumy ludzi? Przecież setki tysięcy głosowało na "porąbanego", jak mawiała slangiem młodzieżowym Natalia, moja najmłodsza córka.

Rano Mazowiecki był u Wałęsy, ale przez telefon nie chciał wiele powiedzieć. Rozmowa była lepsza niż w czwartek, gdy był u prezydenta z Janem Krzysztofem Bieleckim, co zostało mu wcisnięte przez liberałów i niektórych naszych unionistów z Prezydium. Prezydent powiedział, że pójdzie na konwent seniorów i będzie domagał się dymisji rządu. (...) Chciał przeciągnąć na swoją stronę KPN, ale tutaj kłoda był Moczulski domagający się dla siebie stanowiska ministra obrony. Wałęsa gotów był pójść nawet na to. - Na cztery miesiące, Panie Tadeuszu - mówił Mazowieckiemu podczas jednego z ich spotkań. (...)

Mazowiecki zgadza się na Pawlaka.

Zbliżyliśmy się do wydarzenia, które zdecydowało o upadku rządu Olszewskiego, do zgody Unii na Pawlaka jako ewentualnego następnego premiera. Podsumujmy to, co wydarzyło się wcześniej. Po utworzeniu Małej Koalicji Wałęsa zaczął wskazywać na Mazowieckiego jako na jednego z kandydatów na przyszłego premiera. Żeby jednak mieć furtkę w innym kierunku, a właściwie we wszystkich kierunkach, dodał do towarzystwa Andrzeja Olechowskiego. Sądzę, że Wałęsa chciał tym ruchem przybliżyć do siebie Unię, w której nurt zwolenników Mazowieckiego był silny, i całą małą koalicję, w której z kolei Unia odgrywała główną rolę. Powstanie małej koalicji dostarczyło prezydentowi

kawałka twardego gruntu, na którym można było przygotować rozstrzygającą ofensywę przeciwko Olszewskiemu. Wcześniej był bezradny.

Wystawienie Mazowieckiego - o którym Wałęsa być może myślał poważnie jako następcy Olszewskiego - dało korzystny dla prezydenta rezultat. Mała Koalicja zbliżała się do Belwederu, teraz popychana też przez osobiste zainteresowanie lidera Unii. Pokusa ponownego kierowania rządem na pewno nie przysłała Mazowieckiemu wszystkiego - co się wkrótce okazało - ale miała swoje znaczenie.

Po zbliżeniu do siebie małej koalicji - a było ono tak szybkie, że odczuwaliśmy niesmak, niezręczność sytuacji, niepokój, czy aby nie zostaniemy prezydenckimi satelitami - Wałęsa zaczął przekonywać do obalenia rządu także KPN i SLD. Żeby jednak mieć pewność powodzenia, trzeba było wyrwać choćby jedną cegłę z fundamentu podtrzymującego rząd Olszewskiego. Cegłą najwęższą, najłatwiejszą do obruszenia, było niewątpliwie PSL, kierowane przez złaknionego władzy, młodego, ambitnego polityka, grające na wszystkie strony - obrotowe, jak mawiano - i skłonne do współpracy z Belwederem.

Zabiegi Wałęsy wokół PSL nasiliły się po jego powrocie z Moskwy, gdzie towarzyszył mu Bronisław Geremek. Wśród identyfikującego się z Geremkiem nurtu w Unii pomysł sojuszu z PSL dla obalenia - wyjątkowo przez ten nurt niecierpianego - rządu Olszewskiego (i w tym kontekście kandydatura Pawlaka na premiera) pojawił się podczas dramatycznego posiedzenia prezydium 9 maja. Doszło na nim do ostrej kontrowersji o osobę Mazowieckiego jako kandydata na premiera. Pawlaka miał zaproponować Rokita, ale w niezręczny sposób wyprzedził go Frasniniuk i sprawa spaliła wtedy na panewce. Jest mało prawdopodobne, by nie była uzgodniona z Geremkiem, bo wtedy Rokita uzgadniał z nim ważne posunięcia. Nie można też wykluczyć - choć dowodu na to nie ma - że podczas podróży do Moskwy Geremek i Wałęsa rozmawiali o wykorzystaniu PSL i Pawlaka jako dźwigni wysadzającej rząd Olszewskiego. Ze względu na ostrą wtedy kontrowersję w kierownictwie Unii co do osoby Mazowieckiego jako kandydata na stanowisko premiera niepokoiła nas obecność Geremka w delegacji jadącej z Wałęsą (...). Gdy we wtorek, 2 czerwca, spotkaliśmy z Pawlakiem i Mikołajem Kozakiewiczem, marszałkiem Sejmu poprzedniej kadencji, członkiem władz PSL, Kozakiewicz wspominał o jakiejś rozmowie Pawlaka i Geremka już po zakończeniu wizyty moskiewskiej.

W poniedziałek 1 czerwca rząd rozmawiał z KPN. Moczulski wiedząc, jak bardzo Olszewskiemu trzeba wsparcia, stawiał twarde warunki. Żądał trzech stanowisk ministerialnych, trzynastu wiceministrów, zgody na "otwarty budżet", czyli na druk pustych pieniędzy, i tak dalej. Mówił, że albo rząd przyjmie wszystkie jego warunki, albo upadnie. Chyba chciał upadku. Gdyby Olszewski przyjął warunki, zostałby zakładnikiem KPN. (...) Dla małej koalicji był to dzień minorowy. Coraz wyraźniej rysowała się perspektywa porażki wniosku o odwołanie rządu. MSW zaprzeczyło, jakoby projekt ustawy dekomunizacyjnej opublikowany przez "Gazetę" pochodził od niego. Bardzo miękko zaprzeczyło. Mazowiecki był na konferencji intelektualistów w Poznaniu. Piotr Konopka zaś w Radomiu, w swoim okręgu poselskim. I tam dopadł go telefon Mikołaja Kozakiewicza. Nieoczekiwanie podjął on myśl, by się spotkać, która padła już kilka tygodni wcześniej w jakiejś ich luźnej rozmowie. Umówili się na wtorek, na godzinę wpół do ósmej wieczorem w "Larsie", na ulicy Długiej. Ze strony PSL miała być silna reprezentacja: Pawlak, Łuczak i on. Uprzedziliśmy, że Mazowieckiego nie będzie, ale nie zrezygnowali, co znaczyło, że się im do czegoś bardzo śpieszy.

DRUGI CZERWCA, wtorek.

Około szóstej po południu Mazowiecki wrócił z Poznania i zdecydował, że idzie na spotkanie. Wyglądało ono poważnie, a sytuacja była podbramkowa. Moczulski w dalszym ciągu gadał w URM i choć nie zanosilo się na zgodę, to tak zupełnie nie można było wykluczyć, że poprze rząd. O dziewiątej wieczorem miała się spotkać z premierem koalicja rządowa i zdecydować, czy przyjmuje warunki KPN. Zdesperowana, przyciśnięta do muru mogła je przyjąć, a w końcu Moczulski też mógł pójść na kompromis. I oto tuż za pięć dwunasta rysowała się szansa wyluskania PSL i obalenia rządu.

Mazowiecki, który jeszcze parę dni wcześniej wahałby się z poparciem Pawlaka jako kandydata na premiera po to tylko, by obalić Olszewskiego, przestał mieć wątpliwości po sejmowym tumulcie, w którym przegłosowano ujawnianie "agentów". To był moment, od którego obalenie rządu stało się dla niego celem najważniejszym. Emocja brała się przypuszczalnie stąd, że wiedział, jak wątpliwe materiały zamierza się ujawniać, jak bardzo może to zatruć atmosferę w kraju i skrzywdzić ludzi.

Na ulicę Długą przyjechaliśmy punktualnie. W restauracji nikogo z PSL nie było. Gdy czekając, spacerowaliśmy po ulicy, nadjechał Jerzy Osiatyński z przyjęcia w belgijskiej rezydencji, wydawanego na cześć goszczącego w Polsce królewskiego brata, księcia Liege. Na przyjęciu Mieczysław Wachowski powiedział Osiatyńskiemu, że PSL jest już przez Wałęsę "ugadane" na wyjście z koalicji. W tym momencie pojawił się Kozakiewicz, a Osiatyński jako "nadwyżkowy" wrócił do Belgów.

Podczas gdy czekaliśmy na Pawlaka, a czas płynął, w swobodną początkowo rozmowę wplatała się sztywność. Coś było nie tak. Wreszcie zjawila się sekretarka lidera PSL. Zostawiła Kozakiewiczowi pieniądze, bo to oni zapraszali, poszeptala mu do ucha i odjechała. Marszałek spurpurowiał, pot mu się zaperlił na czole, usiadł i solidnie się jąkając, zaczął nieskładnie tłumaczyć, że Pawlak nie przyjedzie. Szef PSL sądził, że na spotkaniu jest drugi garnitur unijny i po prostu je "olewał". Jednak w chwilę potem przyjechał, dowiedziawszy się zapewne od sekretarki, że w Larsie nie czeka na niego drugi garnitur, lecz sam Mazowiecki.

Pawlak mówił językiem ezopowym, nie postawił wprost swej kandydatury na premiera, ale jego półsłówka były przejrzyste. Proponował koalicję dwu wspomnianych wyżej trójek z "PSL w roli głównej". Był krótko, przeprosił i pojechał na spotkanie koalicji rządowej z premierem. Dopiero po jego wyjściu przekazaliśmy Kozakiewiczowi otwartym tekstem nasze stanowisko: - Jeżeli Wałęsa wystawi Pawlaka, to poprzemy powierzenie mu misji, ale pod warunkiem, że będą głosowali za odwołaniem rządu Olszewskiego. - Nie będzie tak - powiedział Mazowiecki - że ktoś wkłada kasztany do ognia, a ktoś inny je wyjmuje.

TRZECI CZERWCA, środa.

O dwunastej rozpoczęło się posiedzenie prezydium UD, przy małej frekwencji. Tego dnia Wałęsa energicznie ugniatał PSL, "Solidarność", a także SLD, by głosowały za odwołaniem rządu, a kandydatura Pawlaka na premiera stała się jednym z głównych tematów. Próbowano też zablokować wykonanie uchwały o agentach, ale bez skutku. Chrzanowski, który dopiero wrócił z zagranicy i został zaskoczony faktem, że dekomunizacji nie zaczyna się ustawą, po krótkich wahaniach podpisał uchwałę, i już nic nie stało na przeszkodzie, by listy z MSW trafiły do Sejmu. Wieczorem rozeszły się pogłoski, że zostały dostarczone do gabinetu marszałka.

Podczas posiedzenia prezydium pomyślał, by poprzeć misję rządową Pawlaka, ostro zaatakował Hall, który był przeciwny składaniu obietnic poparcia jego kandydatury na funkcję premiera. Hall mówił, że będzie to rozwiązanie niepoważne, a zarazem wymowne, pokazujące bezradność posolidarnościowej klasy politycznej, która trzy lata po obaleniu komunizmu oddaje władzę w ręce wychowanka satelickiej wobec PZPR partii. Było jednak oczywiste, że jeżeli wniosek o odwołanie rządu ma być uchwalony, innego wyjścia nie ma. Prezydium - przy zadowolonych uśmiezkach Rokity, którego koncepcja się właśnie materializowała - ustaliło, że zaproponuje podczas posiedzenia rady małej koalicji, mającej się odbyć zaraz potem, by rozmawiać z Pawlakiem i zapewnić, że dostanie poparcie dla misji tworzenia rządu, jeśli Wałęsa go zgłosi. Rada koalicji wbrew obawom o stosunek liberałów do kandydatury Pawlaka okazała się bardzo zgodna. (...) Ostatecznie ustalono następującą formułę: "Jeżeli Wałęsa wysunie Pawlaka jako kandydata na premiera, to koalicja trzech będzie głosowała za powierzeniem mu tej misji, co nie oznacza, że automatycznie wejdzie do tworzonego przez niego rządu". Stanowisko rady koalicyjnej przekazano Pawlakowi jeszcze tego dnia. Tak więc ładunek wybuchowy pod rządem został podłożony, a lont zapalony. Następnego dnia miało się okazać, czy odpali. Następnego dnia, to znaczy czwartego czerwca, dokładnie w trzecią rocznicę zwycięskich dla obozu "Solidarności", dla drużyny Lecha Wałęsy, wyborów do kontraktowego Sejmu.

Bum!!

CZWARTY CZERWCA, czwartek.

Wszyscy interesujący się polityką wiedzieli, że będzie to ważny dzień. Miało być głosowane odwołanie Rady Ministrów, a już od samego rana potwierdziły się pogłoski z wieczora poprzedniego dnia, że u marszałka są koperty z listami "agentów", adresowane do kierowników klubów parlamentarnych. Nikt jednak nie przewidywał, że będzie to dzień tak dramatyczny, najbardziej dramatyczny od przejścia władzy przez solidarnościową formację, być może dzień pogrzebu tej formacji.

Otwarcie sesji Sejmu obserwowałem w domu w telewizji, przeczytawszy w telegazecie trącące histerią oświadczenie Wałęsy na temat teczek. Wyglądało, jakby Wałęsa bał się, co też może być opublikowane o nim samym. O tym, że z wydarzeń grudniowych 1970 roku nie wyszedł czysty, że ugiął się przed bezpieczeństwem, napisał sam w swojej książce jeszcze przed upadkiem komunizmu. Czyżby to była tylko część, nieodslaniająca kart najgorszych? Dramatyczny był epizod z czarną teczką Tymieńskiego podczas drugiej tury wyborów prezydenckich 1990 roku. Groził on, że ujawni, iż Wałęsa był przez kilka lat agentem SB. Parę dni przed rozstrzygającym głosowaniem ze sztabu wyborczego Wałęsy i z Porozumienia Centrum dochodziły do nas w Aleje Ujazdowskie sygnały skrajnego zaniepokojenia tą groźbą. Choć przed chwilą byliśmy przeciwnikami, ba! - wrogami, oczekiwano jakiejś pomocy. Wydaje mi się, że były nawet konsultacje z ówczesnym ministrem spraw wewnętrznych Krzysztofem Kozłowskim z sugestiami, by Tymieńskiemu uniemożliwić spełnienie zapowiedzi. Nie sądzę, by minister cokolwiek przedsięwziął. Wkrótce zresztą Tymieński przycichł co do czarnej teczki i potem już nią nie wymachiwał. Kozłowski, informując wtedy premiera, powiedział w mojej obecności, że chodzi o sprawę agenta "Bolka", którym we wczesnych latach siedemdziesiątych podobno miał być Wałęsa. Jednak niezbitych dowodów na to nie miał. Jedno jest pewne, ówczesi

sojusznicy Wałęsy, Porozumienie Centrum, Kaczyńscy, wszyscy wiedzieli o poszlakach zaciemniającej biografię przyszłego prezydenta. Nie przeszkadzało im to zupełnie forsować na najwyższe stanowisko w państwie osoby, którą półtora roku później okrzyknęli agentem.

Debata sejmowa miała się zacząć od budżetu, a tu zaraz przy omawianiu porządku dziennego poseł Marek Dziubek z PC zaproponował, by w nowym, pierwszym punkcie przegłosować postanowienie, iż wniosek o odwołanie Rady Ministrów będzie rozpatrzony po ujawnieniu "agentów". Nie sądzę, by Porozumienie Centrum, zgłaszając taki wniosek, liczyło, że to ujawnienie przechyli szalę na korzyść rządu. Chodziło raczej o uwypuklenie, iż rząd jest obalany, bo ujawnił "agentów". To było stwarzanie podstawy do propagandowej ofensywy, która zaczęła się już następnego dnia salwami dziennika "Nowy Świat", w duchu Piotra Wierzbickiego, choć już bez niego, bo nieco wcześniej podziękowano mu za kierowanie pismem. Wniosek Dziubka upadł i zaraz potem upadł wniosek następny, żeby zarządzając tajność obrad, ujawnić wobec Izby zawartość kopert z "agentami". Upadek tych dwu wniosków dowodził, że mina podłożona pod rząd jest sprawna, iż antyrządowa koalicja skonstruowana na podstawie kontraktu z PSL działa jak należy. Po tych głosowaniach nie miałem wątpliwości, że rządu Olszewskiego już właściwie nie ma.

Potem wrócono do debaty budżetowej, lecz uwagę wszystkich przyciągały teczki. W kularach sejmowych wrzało jak w ulu. Kierownicy niektórych klubów, otrzymawszy materiały z "agentami" pod rygorem tajemnicy państwowej, natychmiast się tą tajemnicą podzielili ze swymi kolegami, i wkrótce zaroilo się od nazwisk. Rozeszły się też pogłoski, że oprócz listy dla "sejmowych oficerów" jest także lista dla "generalicji" - marszałków, prezydenta i prezesa sądu najwyższego, na której znajduje się pięć znakomitości z marszałkiem Sejmu i prezydentem. Kiedy to się działo, spokojnie uzupełniałem w domu notatki z poprzednich dni, gdy nagle podano przez radio, że Wałęsa nadesłał pilny list do marszałka, domagając się natychmiastowego odwołania premiera. Wniosek ten miał być głosowany jeszcze tego dnia. Działo się coś bardzo dramatycznego, więc natychmiast pojechałem do Sejmu. Była akurat przerwa w obradach; kulary pełne, szum, grupki posłów, rozmowy pełne podniecenia, gdzieś sprzeczki, czasem soczyste, zwinne postacie dziennikarzy i dziennikarek podsuwające posłom mikrofony pod nos. W sali koktajlowej, w której też wyczuwało się emocje, spotkałem Mazowieckiego, który zdenerwowany tłumaczył Bronisławowi Komorowskiemu niesłuszność sztywnego podejścia Halla do misji Pawlaka. Było to już po zebraniu Klubu Unii, na którym Hall, wbrew przeważającej w klubie opinii, opowiedział się za lustracją, choć nie w takim stylu, jak to zrobił Macierewicz. Starcie musiało być niezwykle ostre, bo Hall powiedział nawet Mazowieckiemu rzecz niesłychaną: "Tadeuszu, nasze drogi się rozeszły". Nazwiska "agentów" były już znane, "tajemnicę państwową" powtarzali wszyscy.

Wkrótce nie było rządu Jana Olszewskiego. Rząd ten był niestabilny od początku, a bardzo się do tego przyczynił sam premier oraz jego doradcy. Olszewski został wyniesiony przez koalicję pięciu partii zawiązaną dzięki decydującemu wkładowi Jarosława Kaczyńskiego, lidera Porozumienia Centrum. Widział on w Olszewskim narzędzie swego wpływu na bieg spraw w kraju, a także narzędzie swej osobistej wojny z prezydentem. Samo wymuszenie zgody na Wałęsie, by powierzył Olszewskiemu misję tworzenia rządu (pierwsze chyba wymuszenie personalne w karierze Lecha) było już salwą w tej drugiej wojnie na górze i zapowiadało groźny dla państwa konflikt. Konflikt

niemający uzasadnienia w niczym innym niż tylko w urażonej ambicji dwu ludzi; prezydenta i jego najgorętszego do niedawna orędownika i najbliższego współpracownika. Premier postawiony, być może nawet wbrew swej woli, w konflikcie z Belwederem zrobił wszystko, by ten konflikt doprowadzić do wrzenia, do zerwania jakiegokolwiek współpracy między tymi członkami władzy państwowej. Mało tego, ledwo desygnowany przez Sejm, zaczął lekceważyć opinie popierającej go koalicji i wszedł w ostry konflikt z kluczową jej postacią - liderem PC. Olszewski wbrew politycznej rzeczywistości, która go otaczała, chciał tworzyć rząd nieodzwierciedlający klucza partyjnego, rząd o pewnym dystansie do sił popierających go w parlamencie i - wobec tego - teoretycznie bardziej samodzielny. To była intencja nawet chwalebna, ale można ją było zrealizować tylko przy zgodzie koalicji rządowej na taką samodzielność rządu. Tej zgody nie było.

Waldemar Kuczyński

Pisane w toku wydarzeń od kwietnia do czerwca 1992 roku